ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 17. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 2 czerwca 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Pierwszy zwiastun wiosny na tle śnieżnych Alp kwitnący krzew migdałowy. (Do artykułu Pod niebem południa).

PAULINA FEINSZTEIN

SPÓŁDZIELNIA UCZNIOWSKA I JEJ ZNACZENIE.

Spółdzielnia uczniowska to organizacja uczniów lub uczenic, którzy zbiorowym wysiłkiem zdążają do wspólnego celu. Cel ten może być szeroko zakreślony, może ogarniać wiele dziedzin życia, jak upiększanie lokalu szkolnego, zakup pomocy naukowych, zakładanie i wzbogacanie bibljotek szkolnych, prenumerata pism, organizacja wycieczek, wieczornic, zabaw, pomoc słabszym i niezamożnym, zarówno moralna jak i materjalna, samokształcenie, wspólne pracownie i t. d.

Potrzeba środków materjalnych wysuwa konieczność stworzenia źródeł dochodowych w postaci składek członkowskich, datków dobrowolnych, dochodów z działów gospodarczych, z imprez i t. d.

Szkoły skutkiem myśli i pracy dziecka zyskują na wyglądzie. Stają się przybytkiem, w którym dziecko nietylko zdobywa wiedzę, lecz jednocześnie rozwija i kształci poczucie artystyczne, zamiłowanie do czystości i piękna. Szkoła staje się domem dziecka, poniekąd jego własnością, bo w niej tkwi jego troska, jego myśl i jego praca. Skoro więc o niej myśli, dla niej pracuje — musi ją ukochać. Pomoce naukowe, któremi posługuje się nauczyciel lub dziecko, zdobyte staraniem i wysiłkiem spółdzielni uczniowskich, zyskują na wartości. Pogłębia się ich znaczenie, uwidocznia się konieczność, wzmaga się zainteresowanie.

Ani dekoracji szkolnych, ani pomocy naukowych nie kupuje dziecko wyłącznie dla siebie, bo oto przyjdą inni, którzy korzystać będą z pracy swych poprzedników po to, aby utrwalić, rozszerzyć i pogłębić dotychczasowe zdobycze, a wreszcie złożyć w ręce swym następcom.

I w dziecku budzi się myśl o tych innych, którzy przyjdą i dla których trzeba pracować — jedna z promiennych zasad idei spółdzielni uczniowskiej.

Z dziecka rozwija się człowiek o szerszym horyzoncie myśli, o głębszych uczuciach. Wysuwa się ze skorupki ciasnego egoizmu, rozumie interes społeczny i umie mu podporządkować własny.

Styka się z życiem bezpośrednio. Mały człowiek prowadzi spółdzielnię, wysyła i otrzymuje listy, przekazy, zakupuje i sprzedaje, sprawdza i pisze rachunki, rządzi i gospodaruje, myśli, rozważa i działa, rozwija poczucie obowiązku i odpowiedzialności, kształci umysł, wolę i charakter. Rozumie, że prawu uledz trzeba, że musi je uszanować, a czyni to tem łatwiej i chętniej, że zostało ono przezeń dobrowolnie przyjęte i uznane.

A tych, którzy mają stać na straży przestrzegania praw usankcjonowanych, którzy mają wprowadzać w czyn postanowienia ogółu, cechować musi uczciwość, prawdomówność, energja i bezinteresowność.

Muszą to być najlepsi!

I oto przed dzieckiem wysuwa się zagadnienie: Kto jest najlepszy? jakie cechy należy uznać, a jakie potępić, jakie naśladować, a jakie zwalczać.

Zagadnienie to może być pomyślnie rozstrzygnięte przez zespół dzieci, pracujących wśród dzieci. Dobry przykład, dobre chęci, energja, wola, wytrwałość, dyscyplina i środki materjalne dają rękojmię zwycięstwa.

Pomimo tak doniosłego znaczenia i wpływu społecznego jaki wywiera idea spółdzielczości, ruch spółdzielczy u nas rozwija się w bardzo powolnym tempie.

Tylko wśród nielicznej rzeszy uczniów i uczenic został należycie oceniony, tylko wśród nielicznej rzeszy rodziców spotkał gorące poparcie.

Trochę dobrych chęci, trochę wysiłków i zrozumienia, dobroczynnego wpływu ruchu spółdzielczego, a organizacje spółdzielcze rozkrzewią się i rozwiną, budząc dziecko do czynu, do walki i zwycięstw nad sobą i poza sobą.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DZIECI.

Jeszcze wszyscy mówią o nas:
„dzieci“,
jesteśmy bowiem mali i mało mamy lat,
ale już rozumiemy dużo różnych rzeczy:
że życie bywa ciężkie... że praca dźwiga świat,
a my rośniemy po to,
by nowy tworzyć ład.

O SPÓŁDZIELCZOŚCI.

Dnia 2 czerwca cała Polska obchodzi dzień spółdzielczości, święto tych, którzy pragną stworzyć nowe życie, przetworzyć świat nie drogą przewrotu, nie przez upaństwowienie środków produkcji — fabryk i ziemi — lecz drogą związania wspólnym interesem z jednej strony spożywców, skazanych na nabywanie wszystkiego w drobnych ilościach, z drugiej zaś wytwórców niedużych, zmuszonych zbywać drobnemi partjami wytworzone przez siebie wyroby.

Od bardzo dawnych czasów bogactwa skupiają się w rękach poszczególnych jednostek, jednostek nielicznych, które posiadając duży zasób gotówki, nabywają bądź to wielkie obszary ziemi, bądź zakładają wielkie warsztaty przemysłowe, bądź wreszcie skupują wielkie ilości towarów, potrzebnych szerokim warstwom ludzi, by następnie rozprzedawać je po cenach takich, jakie się tylko da uzyskać.

Ci, którzy zapasu gotówki nie posiadają, którzy są zmuszeni do zakupywania potrzebnych im do życia towarów z zarobku, wypłacanego tygodniowo lub miesięcznie, którzy nie mogą zaopatrzyć się w porze właściwej, np. na jesieni w ziemniaki, węgiel i t. p. są skazani na to, że muszą płacić za towary do życia im potrzebne tyle, ile w danym wypadku może uzyskać od nich kupiec. Ten zaś posiadając gotówkę, porobił zakupy w odpowiednim czasie.

Jeśli ponadto przyjrzymy się czy to kopalni, czy fabryce, czy dużemu gospodarstwu rolnemu, a więc tym, którzy wytwarzają duże ilości zboża, mięsa, odzieży, węgla i t. p., to przekonamy się, że żaden z nas stamtąd bezpośrednio nie będzie mógł nic zakupić, chociażby posiadał zapas gotówki, wystarczający na taką ilość artykułów, któraby zaspakajała potrzeby nasze na cały rok. Wielcy przemysłowcy bowiem i wielcy rolnicy nie chcą sprzedawać drobnej części swych zapasów. Wolą spieniężyć odrazu wszystko, co wyprodukowali, w ręce jednego hurtownika, nie zaprzątając sobie czasu drobną sprzedażą. Hurtownik też nie zajmuje się drobnym handlem. Oddaje on towar detaliście, który dopiero sprzedaje go spożywcy. Jeśli się przyjżymy, jaką drogą dochodzi do nas chleb, to przekonamy się, że droga ta jest bardzo długa: najpierw kupuje zboże hurtownik zbożowy, od którego nabywa je młynarz. Od młynarza mąka idzie do hurtownika mącznego. Ten sprzedaje ją detaliście. Detalista odstępuje ją piekarzowi, piekarz zaś dopiero dostarcza pieczywo do sklepów, skąd możemy je nabywać. W ten sposób zboże przeszło przez sześć rąk, zanim dotarło do naszych w postaci pieczywa. Są towary, które odbywają jeszcze dłuższą drogę, jak naprzykład mięso, lub wędliny. Każdy z tych pośredników musi na tem pośrednictwie zarobić, musi coś do ceny przez siebie zapłaconej dorzucić, to też różnica pomiędzy tem, co się płaci w hurcie, a tem co się płaci w detalu — jest bardzo duża.

Jak z powyższego widać, brak odpowiedniego zapasu gotówki zmusza nas do zaopatrywania się w potrzebny nam towar z dnia na dzień, oraz do opłacenia tych wszystkich, którzy w dostarczeniu nam towaru pośredniczą.

Spółdzielczość znajduje rozwiązanie zarówno dla jednej, jak i dla drugiej sprawy.

Jeśli weźmiemy dla przykładu węgiel, to cena jego w hurcie wynosiła w marcu r. b. 37—38 zł. za 1000 kg. W tym samym czasie płaciliśmy za węgiel kupowany detalicznie 55—58—60 zł. za 1000 kg. czyli o 50% więcej, aniżeli płaci hurtownik. Każdy z nas może sobie pozwolić na kupienie zaledwie 1000 kg. węgla, ale już 150 ludzi może sprowadzić cały wagon węgla, który nawet obciążony kosztami administracji w wysokości 15% nie dałyby tej ceny, jaką zmuszeni byliśmy płacić za węgiel!

Biorąc tą sprawę ogólnie, można powiedzieć, że spółdzielczość z drobnych wkładów zbiera duże kapitały i usuwając zbędne pośrednictwo, powoduje możność tańszego nabywania produktów.

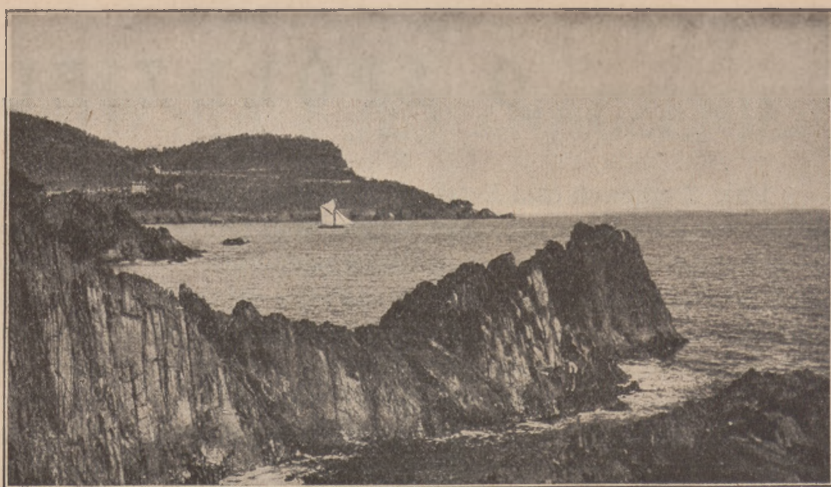
Tak samo również drobnym rolnikom, nie będącym wstanie sprzedawać korzystnie swych produktów ze względu na niemożność spieniężenia w dużych ilościach, spółdzielczość ułatwia ich sprzedaż drogą zbierania większych partyj tych artykułów i uzyskiwania w ten sposób wyższych cen.

To też każdy żyjący z pracy płatnej na dniówkę, czy miesięcznie, powinien należeć do spółdzielni spożywczej, przyczyniając się w ten sposób do stworzenia zbiorowego kapitału i usunięcia zbędnego pośrednictwa, podnosząc przez to samo możność swoją nabywania większej ilości produktów za tę właśnie cenę, którą obecnie płaci pośrednikom.

S. B.

TADEUSZ RADLIŃSKI

POD NIEBEM POŁUDNIA.



Dzikie, skaliste wybrzeża morza Śródziemnego.

Zimno, szaro, ponuro! Uciekamy na południe! Przed oczyma naszemi przesuwa się smutny zimowy pejzaż sztywny i beznadziejny. Szybki zimowy zmierzch podkrada się ze wszystkich stron, a z nim kolejowa nuda i senność. Dobranoc. Ach! obudzić się dopiero na południu zdala od naszej smutnej północy.

. . . .

Ranek. Budzę się. Nad rozespaną głową, poprzez zamglony rosą kwadrat szyby, widać mknące po błękitnem niebie, poprzerywane obłoki. Górą nasi! Niema śniegu, niema zimy, nad nami boskie słońce szczęśliwej Italji.

Oto mija nas pierwszy zwiastun szczęścia: na tle ośnieżonych dalekich Alp cudny kwitnący krzew.

Oszalałym pędem mkniemy w dół po zboczach gór Apenińskich, wprost ku błękitom morza Śródziemnego. Raptem co to? Czarna noc nas ogarnęła: to tunel, jeden z licznych, chwyta nas w swe zakopcone, dudniące tętentem objęcia. Mija. Płuca chwytają świeże powietrze, a dusza radosna napawa się widokiem wesołego, młodego słońca i lśniących błękitnych wód.

Ot i Genua, tętniący życiem, ruchliwy port potężnej Italji. Śpieszmy z wagonu na śniadanie! Co też jedzą ci włosi? Nie to chyba, co u nas. Kupujemy torebkę za kilka lirów (1 lir — pół złotego). Zabierajmy się do śniadania! Na początek mała czarna, potem makaron „włoski" z pomidorami i cebulą. Z sympatycznego osiołka zrobione „salami". Ser włoski. Trochę biszkoptów i na zakończenie duża flaszka pysznego, a bardzo taniego włoskiego wina. I pomarańcze — ale nie ze straganów — tylko wprost z drzewa rwane, często z ciemno-zielonym, błyszczącym liściem.

Mknie szybko pociąg wzdłuż lazurowych wybrzeży. Ach, to cudne słońce południa. Co za szalony kontrast z dniem wczorajszym: jasno, ciepło, pogodnie. Wiatr przesycony kwietniowym zapachem gwoździków i mimozy. Daleko za nami została nasza ponura, bezsłoneczna północ. Na urwistem zboczu wśród bujnego lasu, raz w raz wykwitają strzeliste kształty willi, patrzące sennemi jeszcze, bo żaluzjami zielonemi przysłoniętemi oczyma, w ciemne lazury wód, białą pianą, rozbijające się o skał podnóża! Na lewo od nas szeroka, lśniąca w słońcu zatoka.

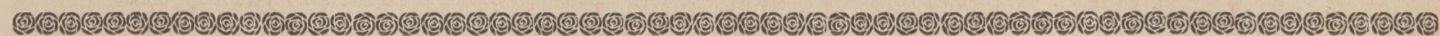
Szybko mijamy elegancko zabudowane willami miejscowości okoliczne Genui. Ustępują one miejsca mniej wykwintnym, ale zato bardziej charakterystycznie włoskim pejzażom. Potoki, w których woda spotyka się tylko jesienią lub zimą, w lecie zaś świecą suchem kamienistem dnem, na nich sklepione mostki, ulice i zaułki ciągnące się wśród nieskończenie długich najeżonych szkłem kamiennych murów, a po nich wielkie dwukolne gary, zaprzężone w szpic w muły, z dzwoneczkami i szczekającym pieskiem na siedzeniu i te kochane włoskie osiołki, wzbudzające



Czerwone skały na tle lazurowego morza.

swym mizernym kłapouchym wyglądem całą tkliwość i sympatję podróżnika.

Niedługo jakoś popołudniu stajemy w pogranicznej stacji. Stać tu będziemy długo, około dwóch godzin. Dalejże na wybrzeże. Zalane południowem grudniowem słońcem miasteczko aż roi się od odświętnej publiczności, a przytem jakiś mecz piłki nożnej, jakieś miejscowe wyścigi cyklistów. Naokoło moc goździków białych, pachnących. Całe powietrze przesycone ich zapachem. Kosze i wiązki białego kwiecia zalegają wnętrze dość dużej kamiennej hali i chodniki małej mieściny. Tak niedawno, bo jeszcze wczoraj o tej porze, białe zbocza gór i pola śniegiem zasłane, a tu dziś ta moc białego wonnego kwiecia, to słońce, ten błękit! Istny cud w czasie i przestrzeni.



WANDA MELCER-SZTEKKEROWA

ŚMIERĆ PIROTECHNIKA.

Józef Kopytko, pirotechnik, był człowiekiem szczęśliwym od niedawna. Nieśmiały i zażenowany, nie zdążył się jeszcze do swojego szczęścia przyzwyczaić, tak, jakby się bał, że gotowe się od niego odwrócić. Kiedy w ten czwartek powracał wieczorem do domu, pełen był zachceń nieuporządkowanych i niepowiązanych pomysłów. Marzyła mu się wielka przyszłość, własna, duża pracownia z pracującymi u niego robotnikami, liczne zamówienia — a także pewien tłuszczyk, kombinacyjka wyborna, a własna, pozwalająca na zamykanie pod wodą gilz, mających wybuchać na stawach po upływie kilku nawet godzin. Jednem słowem coś, co miało uwiecznić jego nazwisko, związane i tak bardzo ściśle z branżą.

Z zimnego wiatru na ulicy wszedł zaraz w ciepłą sień oficyny i wstępował na górę po dwóch kawałkach schodów, z których pierwszy był kamienny i miał poręcz drucianą i zardzewiałą, a drugi, wyżej, był cały drewniany i skrzypiący. Tu właśnie kupił sobie, nadbudowane nad starym domem nowe mieszkanie, składające się z pokoju i w tym pokoju — kuchni i tu wprowadził świeżo poślubioną żonę.

Nie wiedzieli o tem wcale, że właśnie w ten czwartek mieli umierać, młoda żona czekała na niego, gotując wodę na herbatę między kubełkiem klajstru z ałunem (żeby nie kwaśniał), a blaszanką sody, która stała już nie na blasze, ale na kaflach.

— Dostałem jeszcze jedno zamówienie — powiedział — te ognie na kongresie lekarskim przyniosły mi szczęście.

żona zwalniała róg stołu, żeby podać kolację. Jej ręka spoczęła tkliwie na gotowych do wysłania reklamowych kartach pocztowych. Ileż i z jakim trudem takich kart wypisali, polecając jego pracę. Umyślnie przygotowana pieczątka odbijała mechanicznie na kartach gnoma w spiczastej czapce, dzierżącego w pięści zygzakowate pioruny, symbol, starannie przez dwoje obmyślany, zanim przyszedł w wykonanie. Koło brodacza było wypisane:

Józef Kopytko,
Pirotechnik.

Radośnie i dumnie składała ze stołu hermetycznie zamykane słoje z żelaznemi opiłkami, błyszczącemi w świetle lampki, jak brylanty i niezliczone glansowane torebki, po których sypały się matowe piaski kolorów, pozostające na palcach, jak barwa od śliwek. Zestawiała to wszystko w kąt, na podłogę, gdzie stało tyle paczek drewnianych z gotowemi rakietami i tyle szkieletów gwiazd. Ale mąż prędko ją powstrzymał:

— Nie usuwaj wszystkiego ze stołu, będę jeszcze pracował, zjem tylko cośkolwiek.

Zmartwiła się i na chwilę przygasła, układała sobie, że on dziś już nic nie będzie robić i że pójdą razem do kina. Siedziała przecież tyle czasu sama i nawet nie zaświeciła lampy, żeby za dużo nafty nie wychodziło. W kinie grali „Wieprze Circe[1]) czarodziejki“ z Mae Murray, a tymczasem byle słońce było zwycięskim rywalem.

— Myślałam, że pójdziesz ze mną do kina — powiedziała.

Józef Kopytko był za poważny, pracował dużo i z zapałem, żeby sobie, żonie i przyszłym dzieciom zapewnić przyszłość. Pocóż później ludzi o coś prosić? Lepiej pracować za młodu. Trzeba było cenić, że tak niedawno dopiero zaczęło mu się dobrze powodzić, przedtem zarabiał bardzo mało pieniędzy i nawet na ten pokój pożyczył, kiedy się miał żenić.

— Dziś nie można, muszę ciągle dużo pracować. Czy kupiłaś serdelki?

Tak właśnie powiedział, „czy kupiłaś serdelki“. Oczywiście nie domyślał się zupełnie, że słowa, które

[1]) Pomniejsza bogini grecka, która przybywających na jej wyspę zamieniała w zwierzęta.

mówią oboje, są ostatniemi słowami w ich życiu, bo może wtedy byłby chciał powiedzieć jakiś aforyzm [2]), który upamiętniłby jego imię obok tłuszczu do gilz. A możeby chciał uciekać, psując patos swojej śmierci. Może też chcieliby powiedzieć coś do siebie, że się jeszcze kochają naprzykład i że takie słowa mają jeszcze jakieśkolwiek znaczenie, nawet wobec tych rzeczy, które ich miały spotkać, a może stworzyliby jakiś „złoty listek" o śmierci albo o ich stosunku do rzeczywistości. Oczywiście tylko nie mogli uciec, bo musieli za półtorej godziny umrzeć. Dlatego właśnie on nie chciał iść do kina i był obowiązkowy.

Zasiedli do stołu, woda już się zagotowała. Ona zaparzyła herbaty i wsypała cukru do dwóch filiżanek odrazu. Siadając, spojrzała przelotnie w wiszące na ścianie lusterko, bo chciała się bardzo podobać swojemu mężowi. Poprawiła też nad czołem krótko obciętą grzywkę. Ta czynność była rodzajem przedśmiertnej toalety, była więc zupełnie na miejscu, nie wypada przecież iść do trumny nieuczesaną. Zrobiła to wesoło uśmiechając się. Ta dobra osoba nie miała do męża pretensji, że nie chciał z nią wyjść wieczorem.

Do śmierci pozostawała już tylko godzina i czternaście minut. Oczywiście nic tu nie można było ani przyspieszyć, ani opóźnić, ale Józef Kopytko, pirotechnik, bardzo się spieszył. Pił herbatę wielkiemi łykami, parząc się i trzymając w drugiem ręku serdelek, który wyjadał zębami ze skórki, cokolwiek nawet naciskając palcami, żeby prędzej poszło. To parzenie się było zupełnie niepotrzebne, drobny ból fizyczny, jaki sobie naumyślnie zadawał, cierpiał jedynie w tej myśli, że czeka go jeszcze długie życie. Inaczej byłby się zapewne starał tego uniknąć, a w każdym razie nie narażać się własnowolnie. Sprawa na pozór błaha olbrzymiała i zmieniała proporcję w stosunku do tak małej ilości czasu, który dla doznań ziemskich pozostawał.

Ona siedziała zamyślona i jadła niewiele. Kiedy wypili herbatę, podeszła do niego z tkliwością i usiadła mu na kolanach. Pocałował ją, ale bez specjalnego uczucia, myślał bowiem o czem innem, mianowicie o rezultacie poczynań pieczątki z gnomami i zygzakowatym piorunem. Mieli umierać za pięćdziesiąt minut.

Wstała więc i sprzątała ze stołu, żeby mu wrócić całe miejsce, tego sprzątania nie było zresztą dużo. Masło zawinęła starannie w papierek i położyła na okapie, zlepiła razem dwie połówki od różnych, nadjedzonych bułek.

— Będzie na jutro śniadanie — powiedziała, jak się okazało, bezmyślnie.

On już się niecierpliwił, bo mu się bardzo spieszyło.

[2]) zasada wyrażona niewielu słowami.

— Długo jeszcze będę czekał?

Wzburzyła się.

— Sam jadłeś, a teraz nie masz cierpliwości, aż ze stołu zbiorę.

— A ty może nie jadłaś? Taka ta twoja praca, zaraz spać pójdziesz.

— Spać też nie pójdę. Czy można usnąć przy tych twoich czortowskich pukaniach? Jakieś djabły, iwany trzymają się ciebie i śpij tu przy tem.

— Może dla siebie pracuję? Co?

Odwróciła się od niego, bo łzy jej stanęły w oczach. Pocóż miał to oglądać? Ale nie wytrzymała i zaniosła się krótkim szlochem, od którego poczerwieniała jej cała ładna twarz.

— Za moją miłość, — powiedziała i zapłakała znowu.

Potem dokończyła spokojnie:

— Teraz, kobieto, cierp.

Chwilę było zupełnie cicho, tylko on gorączkowo szukał glejty, uparcie jej nie znajdując. Nagle stanął i wzburzył się cały:

— Choć z domu uciekaj, a nic robić nie można.— zawołał — już ty mi pomagasz, już ja się z tobą dorobię.

— Z inną się dorobisz, z inną — wybuchnęła przez łzy, jak gejzer.[3]) Potem wzięła chustkę na głowę, bardzo ją jednak długo układając.

— Pójdę na noc do matki, będziesz miał więcej miejsca.

Czemuż nie poszła. A znowu, gdyby wiedzieli, że umrą, pocóż się było tak kłócić? Ulegali przecież tylko chwilowym afektom[4]). On patrzał na nią niezdecydowany, kiedy zamieniła tę chustkę na inną, cieplejszą, kiedy zawiązywała, pochyliwszy się, sznurowadło w półbuciku, kiedy wreszcie skierowała się ku drzwiom, wcale na niego nie patrząc. Wtedy dopiero, kiedy stała u wyjścia i trzymała rękę na klamce, położył jej ciężką dłoń na ramieniu.

— Głupia, — powiedział.

Roześmiała się zażenowanym śmiechem, powolutku ściągając z ramion chustkę. Potem odwróciła się prędko, rzucając chustkę na koszyk.

— A już jaki to ty jesteś.

Uśmiechnął się i machnął ręką. Ze stołu było sprzątnięte, żona podawała mu teraz wszystko, czego potrzebował, a co jakimś cudem znalazło się odrazu i bez szukania. Naprawdę, trzeba jej to było przyznać, że zręczna była do pomocy. Józefowi przed ożenieniem się pomagał brat — podrostek, ale gdzież równać tę pomoc z żoniną. Takie gilzy, naprzykład: nigdy nie były równo napełnione, ładunek zawsze al-

[3]) Gejzer — źródło, wyrzucające do znacznej wysokości w pewnych odstępach czasu strumień wrzącej wody i pary.

[4]) Afekt — wzruszenie — uczucie.

bo za lekko, albo za mocno ubity. Czapki rakiet źle nałożone. Ech, co tu dużo gadać.

— Sześćset złotych w sobotę, w tę niedzielę niewiem ile, ale też się zarobi. I, niech tam, dodam litynu do kul, będą drogie, ale co za kolor, piękny, ciemno ponsowy, cacko. Niech wiedzą, kto jestem i że byle czego nie daję.

Podała mu zapałki, bo tłuczek upadł mu pod stół.

— Co ty mi dajesz? — były jego ostatnie słowa puste pudełko.

Potem pochylili się oboje nad moździerzem. Żona była pełna zapału, ale nie dość doświadczona, nie wymyła dokładnie tego moździerza, teraz on sypał, nie wiedzący, chloran potasu na pozostały na dnie siarek antymonu. Z łagodnym, dobrodusznym sykiem wytrysnął biały płomień, jak kipiące mleko.

— Jezusie — krzyknął Józef Kopytko, podnosząc ręce do oczu.

Zakręcił się w kółko, robiąc mnóstwo niepotrzebnych gestów umierającego człowieka. Nie mógł już znaleźć drzwi. Ona rzuciła się bliżej, żeby go ratować, objęła go w pół, parząc sobie ręce i krzycząc. Ale zaraz zajęła się na niej suknia, więc odskoczyła, ślizgając się po rozlanej nafcie i przewracając się na podłogę. Okropnie poparzona, czołgała się w głąb pokoju gdzie stał dzbanek z wodą. Nieporadny ruch omdlewających rąk przewrócił dzbanek, chłodna struga rozlała się po podłodze. Następował koniec.

Płomienie skakały po skrzynkach i torbach i zaraz pokój stał się rajem ognistym, gdzie zapalały się i gasły gwiazdy. Jak lotny duch, frunęła w powietrze iskra i opadała, malejąc i gasnąc, uroczy kosmos energji, tlejąc na kolorowych, jak motyle i kwiaty papierkach, gdzie złożone były skondensowane[5]) słońca. Jeden za drugim, zapalały się teraz świetne ognie, bijąc pod sufit skromnego pokiku wodotryskiem nieporównanych kolorów, rozrzucając wokoło lotne piany blasku, które oddzielały się od źródła światła, żyjąc przez jedną krótką, uroczą, niezapomnianą chwilę życiem własnem, swobodnem, niezależnem od nikogo na świecie.

Pokój był pieczarą w podwodnem królestwie nimf, zieloną, podwodną pieczarą, gdzie kłębiły się z sykiem przezroczyste wodospady. Pokój był państwem ognia bez żaru, nabrzękłą, czerwoną kulą, jabłkiem ognistem, dzielącem się na nierówne cząstki. Pokój był pomarańczą, bulgoczącą od słodkich, niematerjalnych soków.

Z sykiem wybuchały szmermele[6]), rozsypując się blisko, pod sufitem, w plejadę[7]) nienazwanych jeszcze przez astronomów gwiazd, w mleczną drogę międzyplanetarnego pyłu. Przez niedomknięte okno uciekały nazewnątrz żywe płomienie, zapładniając dalekie przestrzenie nocy. Z szumem i hukiem rozwinął ogniste skrzydła piekielny młynek, wirując z trzaskiem i budując drobnemi, małemi dotknięciami dach z białego płomienia nad dwoma zwęglonemi ciałami.

A potem z gwizdem wyleciała przez ostatecznie już otwarte okno pozostała jedyna rzymska świeca i zawisła chwilę na posępnem niebie stolicy, wiodąc przez sekund kilka efemeryczny[8]) i samodzielny żywot i obwieszczając miastu i światu śmierć pirotechnika.

---

[5]) Skondensowane — zgęszczone.

[6]) Szmermel — sztuczny fajerwerk o wężykowatych zakrętach.

[7]) Plejada — gromada małych gwiazd.

[8]) Efemeryczny — krótkotrwały.



R. RUDZIŃSKA

AMUNDSEN I DZICY LUDZIE.

Dzieckiem jeszcze będąc, czytałam kiedyś opis uczt gromadnych, wyprawianych przez pewne plemię dzikich ludzi, żyjące gdzieś w głębi Australji. Okolica ta nie obfitowała w żywność, to też ludność cierpiała często głód dotkliwy. Od czasu do czasu wybierano się gromadnie na polowanie na zwierzynę. Jeżeli polowanie było udatne, rozpoczynała się zbiorowa uczta. Jadła wtedy cała gromada razem — starcy, kobiety, dzieci. Rozpalono wielkie ognisko, urządzano dzikie tańce i śpiewy, a potem następowało jedzenie, które słusznie żarciem nazwaćby należało. Wielkie, napół surowe, ociekające krwią i tłuszczem kawały mięsa, rozrywane na części i pośpiesznie połykane. Grube, tłuste wargi, głośne mlaskanie językiem i — bezustanne jedzenie—aż do momentu, kiedy wszystko pożarte zostanie do ostatka — i to bez względu na to, jaką ilość zwierzyny upolowano. A potem spanie — z przejedzenia.

Po dwóch dniach głodówki zaczyna się na nowo i trwa aż do nowego szczęśliwego polowania.

Zaś dn. 25 maja 1925 r. wybrał się słynny podróżnik norweski, Amundsen na wyprawę do biegu-

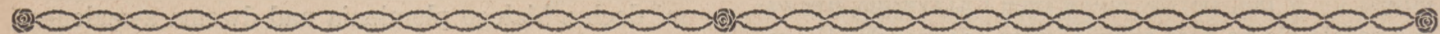
na północnego. Drogę odbyć miano 2-ma aeroplanami. Wzięto ze sobą zapasów na miesiąc — na każdego uczestnika wyprawy liczono po 1 kg. dziennie. W skład żywności wchodziły: suszone mięso, czekolada, keks, mleko skondensowane, ekstrakt sodowy. Na skutek zbytniego obciążenia aeroplanu, trzeba było lądować w nieodpowiedniem miejscu, z którego trudno było potem startować. Położenie tedy staje się poważnem. Zaraz po uświadomieniu sobie tego faktu, postanawiają uczestnicy wyprawy zmniejszyć rację dzienną do 300 gr. W tydzień później zmniejsza się posiłek dzienny do 250 gr. A dnia 15 czerwca pisze Amundsen w swoim pamiętniku: „Wzięliśmy zapasu jedzenia na miesiąc. Dziś mamy jeszcze na 6 tygodni. Starczy nam do 1 sierpnia". Uczestnicy, wyprawy powrócili w połowie czerwca, powrócili jeszcze z zapasami żywności, lecz tak chudzi, że o jednym z nich pisze Amudsen: „mógł sobie okręcić szyję dwa razy kołnierzykiem, a przecież przed wyjazdem był na niego za ciasny".

Nie mam wcale na myśli, podając tu te dwa różne sposoby jedzenia, namawiać kogoś do odmawiania sobie czegośkolwiek w odżywianiu. Jestem tego zdania, że każdy ma prawo jak najlepiej się odżywiać.

Podaję tu tylko 2 przykłady różnego ustosunkowania się do życia. Jedno — zwierzęco-bezmyślne, nie znające pojęcia: jutro; drugie — wysoce rozważne, umiejące przewidywać na długie, długie miesiące.

W życiu mamy, niestety, dużo takich dzikich, nie znających śpiżarni, a mało Amundsenów.

A tymczasem, rodzice, którzy nie potrafią myśleć naprzód, na wiele lat naprzód, o przyszłości swoich dzieci, klasy społeczne, które nie potrafią wywalczyć sobie odpowiednich ubezpieczeń, społeczeństwa, swej linji rozwojowej nieświadome, państwo, nie umiejące przewidzieć, czekających je powikłań — zginą marnie, tak, jak zginąłby z głodu w położeniu Amundsena ów dziki, nie znający pojęcia: *jutro*.



K. STROMENGER

O PIEŚNIACH MONIUSZKI.



St. Moniuszko.

W dawnej Polsce muzyka kwitła na dworach i pałacach. A była to muzyka artystów, często zagranicznych, przejezdnych mistrzów fachu. Lud śpiewał po swojemu. Między muzyką, uprawianą na wzorach zachodnich krajów Europy, a pieśniami ludu polskiego, była różnica tak wielka, jak między kwiatami obcemi, hodowanemi w cieplarni, a kwiatami naszych pól i lasów. Zapewne, drobna szlachta miała swe śpiewki zaściankowe i tańce, ale te płynęły na fali czasu, gubiły się wśród postępu wieków tylko rzadko utrwalał ję druk.

W roku 1843-m ukazuje się pierwszy śpiewnik domowy Stanisława Moniuszki. Jest to chwila, w której pieśń polska wchodzi w nowy okres, pełny znaczenia. Bo dotychczas rozchodziły się po Polsce co najwyżej tylko piosenki francuskie i arje włoskie, pozatem, pieśni Kurpińskiego i Elsnera nie wychodziły prawie z poza Warszawy. Moniuszko powróciwszy z Berlina (gdzie pojechał dla nauki muzyki), osiadł naprzód w Wilnie i tu zaczął puszczać w świat swe pierwsze pieśni. Była to muzyka, która powstała z ducha ludowego ale już miała cechy artystyczne. Nie była to muzyka ani dla samej tylko strzechy, ani dla samego tylko pałacu — ale muzyka przeznaczona

poprostu dla polskiego domu. I to przeznaczenie było tak wyraźne, że wypowiadało się ono już w samym tytule, który brzmiał: „Śpiewnik Domowy".

Dom polski mógł teraz śpiewać pieśni własne, przybywało ich coraz więcej, bo coraz to nowe śpiewniki domowe wychodziły z pod pióra Moniuszki. Ostatni śpiewnik — dwunasty — ukazał się na krótko przed śmiercią Moniuszki.

Przeszło dwieście sześćdziesiąt pieśni zawiera ten tuzin śpiewników Moniuszki. Najpiękniejsze z nich już wcześnie znane były tak powszechnie, że stały się prawie odrazu jakby pieśniami ludowemi. „Znaszli ten kraj", „Kozak", „Prząśniczka", „Modlitwa Wieczorna", „Stary Kapral" — oto kilka tylko ziarnek z bogatego śpichrza.

J. I. Kraszewski był jednym z pierwszych którzy zrozumieli znaczenie pierwszego śpiewnika Moniuszki. Wyrzekł wtedy następujące słowa: „Chcielibyśmy, aby natchnione utwory p. Moniuszki zastąpiły miejsce tych bladych bezbarwnych śpiewek warszawskich, których tyle widzimy na każdym fortepianie, tyle słyszymy jednako płynących po wierzchu duszy i nie mogących się docisnąć do jej środka". Te słowa Kraszewskiego były prawdziwe, ale może jeszcze prawdziwsze są — dziś! Dziś słyszymy dużo piosnek, które po krótkotrwałem powodzeniu znikają i ustępują nowym. Są one dalszym ciągiem tych „bladych bezbarwnych" pieśni brukowych, o których zniknięciu marzył Kraszewski w czasie, kiedy pojawiły się pierwsze pieśni Moniuszki.

Nie znikły jednak, bo widocznie pieśń szlachetniejsza i piękniejsza nie potrafi rugować błyskotliwej, jednodniówki pieśniarskiej. Ale szary słowik śpiewa piękniej niż pstry paw!

Pieśni Moniuszki dzielą się na balady, pieśni poważne, charakterystyczne, sielanki, dumki ulotne, w treści najrozmaitsze. Często rytmy taneczne podniecają wyobraźnię Moniuszki, stąd np. jego niezrównana świeżość w krakowiakach. W dumkach jest on rzewny i serdeczny. Znakomite są pieśni charakterystyczne, np. „Dziad i Baba" gawęda wesoła, o dobrodusznej przytem ironji.

Co pieśni Moniuszki odróżnia od pieśni kompozytorów obcych jego czasu? Ich szczególny polski charakter i polski sposób odczuwania. Moniuszko jest



pierwszym i pierwszym prawdziwym pieśniarzem polskim. A jest nim nietylko z powołania, ale i z przekonania, bo twierdzi, że „to, co jest narodowe, krajowe, miejscowe, co jest echem dziecinnych naszych przypomnień, nigdy mieszkańcom ziemi, na której się urodzili i wzrośli, podobać się nie przestanie".

W tych ostatnich słowach „nigdy podobać się nie przestanie" — tkwi prawda głęboka. Brukowe piosenki przelatują i nikną w zapomnieniu, a co jest echem duszy polskiej — to nie przestaje się podobać i być sercu polskiemu bliskiem.

M. RZĘDKOWSKA

Towarzystwo Ogródków Rodzinnych.

Któż nie odczuwa czaru wiosny? Któż nie śledzi z radością, jak się rozwijają liście na drzewach, zielenieją trawniki, zakwitają pierwsze kwiaty? Niejeden wówczas wzdycha z tęsknotą do szerokich, rozległych pól i marzy o pracy na własnym kawałku ziemi. A mało kto wie, że to marzenie można urzeczywistnić w Warszawie, mało kto słyszał o Towarzystwie Ogródków Rodzinnych.

Towarzystwo to istnieje od dwóch lat, posiada własne tereny na Rakowcu, gdzie każdy zapisujący się na członka może otrzymać kawałek gruntu wynoszący około 300 m² powierzchni, na którym może

uprawiać warzywa lub kwiaty i gospodarować według swych upodobań. Dzierżawa tego kawałka ziemi wynosi 15 zł. *rocznie*.

Dzierżawę może otrzymać tylko członek Towarzystwa. Aby zostać członkiem płaci się 3 zł. wpisowego, 1 zł. miesięcznie składki członkowskiej i 1 zł. miesięcznie na stróża, który jest obowiązany pilnować, aby członkowie nie ponieśli strat z powodu kradzieży. Razem więc za 39 zł. rocznie (3 zł. wpisowego jest jednorazowe) można mieć 300^2 gruntu.

Obszar ten zupełnie wystarcza, aby uprawiać na nim warzywa na własny użytek. U nas w Polsce bardzo mało stosunkowo spożywa się warzyw, chociaż jest to pożywienie daleko zdrowsze od mięsa. Jest to tem dziwniejsze, że Polska jest krajem rolniczym, a warzywo jest tak samo produktem rolnym jak zboże.

Każdy z członków pracuje na zagonkach własnoręcznie, może jednak korzystać z fachowych rad i wskazówek instruktora, ogrodnika zawodowego.

W niedzielę, kiedy kurz, brak powietrza i spiekota dokucza w Warszawie, jakże miło będzie wypocząć na świeżem powietrzu, na własnym zagonie. Nieraz w dniu odpoczynku chciałoby się wyrwać z miasta na swobodę, odetchnąć zdrowem powietrzem wiejskiem, lecz myśl o jeździe w ścisku i tłoku kolejek podmiejskich powstrzymuje od wykonania planu. Przytem, wycieczka z całą rodziną za miasto statkiem lub koleją kosztuje dość drogo. Na zagonki dojedzie się tramwajem, a że zagonki znajdują się za miastem, więc nie odczuwa się na nich warszawskiego upału. Jak sama nazwa Towarzystwa wskazuje, właściciel, a właściwie dzierżawca zagonka ma prawo przebywać na nim wraz z całą rodziną.

Zapisy na członków przyjmuje Kancelarja Towarzystwa Ogródków Rodzinnych, Nowowiejska 45 w poniedziałki i czwartki od $5\frac{1}{2}$—$7\frac{1}{2}$ pp.

MUSZAŁÓWNA

Praca kobieca nie ma nigdy końca.

Z cyklu: Wiek XX jest wiekiem szybkości.

Praca kobiety w gospodarstwie domowem — jak o tem wie każdy — jest niezmiernie męczącą, wymaga wielu najrozmaitszych wysiłków, ustawicznego przechodzenia od jednego zajęcia do drugiego. Zajmuje masę czasu, w rodzinach ubogich, gdzie niema służącej, a za to — jest kilkoro dzieci — i dnia nie starcza na wykonanie wszystkich koniecznych czynności dnia. Jednego i tego samego dnia kobieta zamiata i ściera kurze, prasuje, gotuje, zajmuje się dziećmi, szyje, załatwia sprawunki, zmywa naczynia, obiera kartofle, ceruje pończochy i t. p. Słusznie powiedział ktoś, że praca kobieca nigdy nie ma końca, co więcej — jest jedyną pracą niewynagradzaną.

Życie współczesne wysuwa hasło szybkości. Wykonać pracę możliwie szybko i z jak najmniejszym wysiłkiem, aby zaoszczędzić czas i siły, oto zadanie coraz lepiej rozwiązywane dzięki specjalnym sposobom organizacji pracy. W fabrykach, warsztatach pracy i biurach — zdołano już z powodzeniem hasło szybkości pracy wprowadzić w życie. Ale w kobiecej pracy domowej, gdzie tyle najróżnorodniejszych czynności trzeba wykonać, czyż jest możliwość upraszczania i takiego ułożenia sobie pracy, aby wykonanie jej można było przyspieszać?

Twierdzącą odpowiedź na pytanie to daje nam w książce swej Krystyna Frederick, amerykanka, która na podstawie własnej praktyki doszła do rezultatów pomyślnych, twierdząc, że zastosowane przez nią metody pracy oswobodziły ją z ciężkich okowów pracy domowej.

Dla udowodnienia, że i w gospodarstwie domowem można uniknąć błędnych i zbytecznych ruchów, a przez to zaoszczędzić na czasie, p. Frederick bierze jako przykład zmywania naczyń.

Zwykle po obiedzie — mówi p. Frederick — zmywam 48 sztuk porcelany, 22 sztuki sztućców i 10 narzędzi oraz garnków. Zabieram się do roboty: naczynia znajdują się w wanience; po jej prawej stronie mam blat, na którym kładę naczynie dla osuszenia. Co z tego wynika? — Biorę talerz lewą ręką, szoruję go zmywakiem, trzymanym w prawej ręce. Po umyciu mam do wyboru: poprzez prawę rękę sięgnąć lewą do znajdującego się po prawej stronie blatu, albo przełożyć talerz z lewej ręki do prawej, przytem wypuścić muszę z rąk zmywak, co powoduje zbędny ruch.

Dalej skonstantowałam, niedość starannie usuwanie z talerza resztek jedzenia, wskutek czego wo-

da stawała się niemożliwie tłusta. Do wody wrzucałam kawałek mydła, które obijało się o naczynia i przywierało do nich. Wycierałam naczynie, kładłam je na stole, potem na tacę i wreszcie — odnosiłam do kredensu.

Tak pracując — zużywałam na zmywanie naczyń 45 minut. Obecnie, kiedy wprowadziłam pewien system w tej pracy, zabiera mi ona już tylko pół godziny.

Do rezultatu tego doszłam w następujący sposób. Podstawkę do suszenia naczyń przestawiłam na lewą stronę zmywalni. Wtedy lewa ręka może powtarzać ruch brania i odkładanie naczyń bardzo prędko. Zakupiłam drucianą podstawkę z poprzecznemi przegrudkami, puszkę z dziurkowaną przykrywą do mydła w proszku, zmywak i szczotkę do odskrobywania resztek jedzenia z talerzy. Pracę podzieliłam na 3 czynności: obskrobanie i ułożenie naczyń do zmywania, samo zmywanie i osuszanie oraz odłożenie ich na miejsce.

Najpierw napełniam wodą rondle i garnki; usuwam resztki jedzenia z talerzy, ustawiam je do zmywania, przygotowuję ścierki i robię mydliny w wanience. Następnie zmywam naczynia zmywakiem lub szczoteczką, trzymanym w prawej ręce. Lewą ręką odkładam je na podstawkę do suszenia. Potem wkładam sztućce do wanienki dla odmoczenia, a tymczasem wycieram naczynia.

Porcelanę zmywam gorącą wodą, poczem schnie ona sama na suszaku. Przez ten czas można wyszorować drucianą szczotką rondle i garnki. Naczynie wyschnięte ułożyć na tacy i odnieść na miejsce.

Taki sposób postępowania ze zmywaniem naczyń daje jednorazową oszczędność 15 minut, — ponadto zapobiega wykonywaniu wielu zbędnych ruchów, stanowiących zawsze pewien wysiłek.

O piętnaście minut skrócona praca, w dodatku nieprzyjemna, to naprawdę bardzo dużo. — Ponieważ na innych czynnościach domowych robić można podobnie oszczędności czasu, każda kobieta jest w stanie skrócić swój dzień pracy o parę godzin.

Jest więc nad czem pomyśleć.



ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Dnia 17 maja, o godz. 11-ej, Pan Prezydent Rzeczypospolitej dokonał otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej, przecinając przy wejściu tradycyjną wstęgę. Panu Prezydentowi towarzyszyli ministrowie, grono wyższych urzędników, naczelnicy miejscowych władz państwowych, z panem wojewodą poznańskim na czele, oraz mnóstwo gości.

Po wysłuchaniu powitania, p. Prezydent rozpoczął zwiedzanie wystawy rządowej, która imponuje przejrzystością swoich eksponatów, gruntownością, przedstawionych wykresów, będących dowodem „wyścigu pracy", dokonanego w ostatnim lat dziesiątku. Uznanie dla organizatorów i wykonawców jest na ustach wszystkich zwiedzających.

Szczeremi pochwałami obdarzani są architekci, którzy na rozrzuconym terenie potrafili rozplanować gmachy wystawowe, oraz zachwyt budzi dzieło inżynierów, którzy wykonali ciężką pracę powiązania wszystkiego w jedną całość.

Wystawa imponuje swoją okazałością i ogromem.

Odwiedzana jest licznie. Wystarczy powiedzieć, że w dni Zielonych Świątek zwiedziło ją przeszło 300.000 osób.

Odbyły się także liczne zjazdy krajowe, a nawet jeden międzynarodowy, t. zw. Wszechsłowiański Zjazd Śpiewaczy, w którym wzięły udział chóry z całej Polski, Jugosławji, Bułgarji, Czechosłowacji.

Trudno w krótkiej wzmiance opisać o wszystkiem, co na Wystawie zobaczyć można. Najlepiej przekonać się o tem samemu, aby nabrać należytego przekonania o tem, co zrobiliśmy i ile jesteśmy warci.

Organizujmy zbiorowe wycieczki na Wystawę, a wzmocni się w nas duch i wiara we własne siły.

WYKAZ SZKÓŁ ZAWODOWYCH.

Szkoły zawodowe żeńskie w Warszawie.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Czas trwania nauki	Opłaty	Zawód i uprawnienia
C) Prywatne. 1) Szkoła żeńska gospod. zawodowa im. Kr. Jadwigi.	Teresińska 9 Warsz.-Sielce	7 kl. i egz. wst. z jęz. pol. i rach. Taksa 3 zł. Zapisy od 15 maja.	3 l.	240 zł. rocznie w 2 ratach	Działy: 1) krawiectwo, 2) bieliźniarstwo, 3) gosp. domowe.
2) Szk. Zaw. Żeńska pod wezw. św. Teresy.	Lipowa 14b.	7 kl. i egz. wst. z jęz. polsk. i arytm. Wpis 20 zł. Dokumenty jak w I. Miej. Żeń. Szk. Rękodziel.	3 l.	100 zł. przez 10 miesięcy	Działy: Trykotarstwo, krawiectwo, bieliźniarstwo.
3) Kursy Przysp. Zawod. „Stow. Służby Obywatelsk."	Konwiktorska 65	7 kl. bez egz. wiek od 14 - 18. Przyjęcie zależne od opinji lekarza i psychotechnicznego badania.	1 rok	5 zł. miesięcznie	Działy: materjały dziane, krój i wykończanie na maszynach wykończ. rękawicznictwo dziane, wykończanie pończoch z maszyn i szpulowanie. Przygotowanie dziewcząt do pracy fabrycznej.

Szkoły zawodowe męskie w Warszawie.

II. Techniczne i rzemieślnicze.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Opłaty roczne	Czas nauki	Zawód i uprawnienia
3) Państwowa Szkoła Lotniczo-Samochodowa	Hoża 88 tel. 319-88	7 klas i egz. z jęz. polsk., algebry, arytm. geografji wg. programu w zakr. 7 klas. Programy egz. w dyrekcji. Taksa egz. 10 zł., wpisowe 6 zł. Dokumenty jak p. 1. 2.	Rocznie 130 zł. w 2 ratach	4 lata	Technicy ruchu i pomocnicy konstruktorów dla fabryk i warszt. przemysłowych, lotniczych i samochodowych. Po 4 latach egz. końcowy i tymcz. świad. — po rocznej obowiązk- praktyce — świadectwo ostateczne.
4) Państwowa Szkoła Ceramiczna	Wspólna 84	7 kl., od 14 do 18 lat, egz. wst. z pol. matem. i rys. odręcznych. Termin egz. z pocz. września.	dtto	$3^1/_2$ roku	Przygotowanie do zawodu majstrów wzgl. techników-ceramików, po egz. końcowych i rocznej praktyce. Tytuł technika daje pełne prawa matury w służbie państw. cywiln. i wojsk.
5) Państwowa Szkoła Chemiczno-Przemysłowa	Wspólna 84 tel. 34-02	7 kl. i egz. wst. z jęz. polsk. mat. i rys. jak w Państw. Szk. Drogowej. Opłaty wstępne i egzaminowe jak w Pańs. Szk. Drogowej.	dtto	4 lata	Przygotowanie majstrów i techników, kierowników działów w przemyśle chemicznym.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.